

MARÍA ORUÑA
Złodziej
fal

Przełożyła
Joanna Ostrowska

Originally published under the title *Dónde fuimos invencibles*

© María Oruña, 2018

All rights reserved

© Editorial Planeta, S. A., 2018

Ediciones Destino es un sello de Editorial Planeta, S. A.

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2025

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Sylwia Kajdana

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-4466-1

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAŁ • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze MasterBook 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez EUROPAPIER Polska sp. z o.o.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział 1.	7
Rozdział 2	23
Profesor Machín. Pierwszy wykład	36
Rozdział 3.	41
Profesor Machín. Pierwszy wykład	58
<i>Złodziej fał</i> , Carlos Green. Wersja robocza	63
Rozdział 4	70
<i>Złodziej fał</i> , Carlos Green. Wersja robocza	86
Profesor Machín. Drugi wykład	100
Rozdział 5.	112
Profesor Machín. Drugi wykład	119
<i>Złodziej fał</i> , Carlos Green. Wersja robocza	132
<i>(Niechciana samotność jest niewyczerpanym źródłem...)</i> . . .	146
Rozdział 6	156
Rozdział 7	174
<i>(Czekaj, po kolei...)</i>	182
<i>Złodziej fał</i> , Carlos Green. Wersja robocza	191
Profesor Machín. Trzeci wykład.	198
Rozdział 8.	211
Profesor Machín. Od teorii do praktyki	230

Rozdział 9	239
<i>Złodziej fał</i> , Carlos Green. Wersja robocza	249
<i>(Óscar Cerredelo okazał się...)</i>	260
Rozdział 10	271
Rozdział 11	289
<i>Złodziej fał</i> , Carlos Green. Wersja robocza	303
<i>(Padło. Krople deszczu bębniły...)</i>	316
Rozdział 12	323
Rozdział 13	340
Rozdział 14	361
Rozdział 15. Trzy dni później	385
Tydzień później	398
 Ciekawostki	 403
Podziękowania	407

Dla Veróniki, dzięki której na nowo pokochałam czytanie.

*I dla tych, którzy są w stanie dać innym tyle światła,
że mimowolnie zostają z nami na zawsze.*

1

Gdybyśmy tylko potrafili dostrzec niekończący się ciąg konsekwencji naszych najmniejszych czynów.*

Szukając Alaski, John Green

Nieraz mamy wrażenie, że nie jesteśmy panami czasu, którym dysponujemy i który staramy się maksymalnie wykorzystać. Wszystko kręci się bez naszej zgody, każda czynność, każdy ruch okazują się brzemienne w skutki. Jakbyśmy patrzyli na fale rozchodzące się kręgami po powierzchni kałuży, do której wrzuciliśmy kamień. Czyn – konsekwencja, historia stara jak świat.

Carlos Green leżał na eleganckim łóżu z baldachimem, rozmyślając o swoim życiu. Wrzucił mnóstwo kamieni do niewłaściwych kałuż. Jego błędy miały długofalowe konsekwencje. A teraz, kiedy próbował postąpić właściwie, pojawiła się ta kobieta. Czyżby tracił zmysły?

Powoli usiadł na łóżku, rozglądając się po pogrążonym w ciemnościach pokoju. Skupił wzrok na zasuwce w drzwiach. Była zamknięta. Nikt nie mógł wejść w nocy do jego sypialni. Zresztą kto miałby to zrobić? Mieszkał sam w tym olbrzymim pałacu.

* J. Green, *Szukając Alaski*, przeł. A. Sak, wydanie elektroniczne.

Włączył lampkę stojącą na barokowej szafce nocnej i zdenerwowany podciągnął T-shirt. Nic. Obejrzał swoje nogi – żadnego nowego siniaka. Odetchnął z ulgą. Już się bał, że ktoś bije go nocami, człowiek albo jakaś inna istota. To olbrzymie domiszczce generowało mnóstwo skrzypnięć, świstów i cieni. Ale gdyby ktoś go zaatakował, na pewno by się obudził. Nie bierze przecież żadnych środków nasennych ani leków rozluźniających mięśnie mimo bólu, który od czasu do czasu odczuwał w prawej nodze. A może zaczął lunatykować? Wstaje w nocy i obja się o meble jak słoń w składzie porcelany? Nie, to niemożliwe. Ma czterdzieści jeden lat, nigdy nie wstawał w nocy z łóżka, nawet w półśnie. Coś takiego przytrafia mu się pierwszy raz. Jest w niezłej kondycji, uprawia sport... Co się, do diabła, dzieje?

I jeszcze ta kobieta. Przyśniła mu się? Naprawdę ją widział w sekretnym ogrodzie czy była tylko wytworem jego wyobraźni? Wyglądała jak wyjęta z lat czterdziestych ubiegłego wieku: zwiewna beżowa sukienka do kolan, półdługie włosy ułożone w fale. Była niesamowicie piękna. Mógłby przysiąc, że ona też się zdziwiła na jego widok. A potem się rozpląnęła.

Z rozmyślań wyrwał go głośny, przeszywający krzyk. Dobiegał z zewnątrz. Carlos podbiegł do okna, otworzył wewnętrzną okiennicę i spojrzał na trawnik pod wieżyczką, w której mieściła się jego sypialnia. Świtało, brzask rozpraszał mrok. Od razu spostrzegł leżącego na plecach mężczyznę. Wydawał się martwy. Obok niego stała kobieta, zatykała usta dłońmi, jakby chciała zdusić krzyk. Carlos rozpoznał jej krągłe kształty i ciemne włosy. Jego pomoc domowa natknęła się na zwłoki mężczyzny. W jego ogrodzie. Chwycił spodnie, otworzył zasuwkę i w pośpiechu zbiegł na dół.

Valentina Redondo wsiadła do ekstrawaganckiego range rovera cabrio. W tym aucie nie dało się nie zwracać na siebie uwagi. Dyskretny był tylko jego kolor – czarny. Zostało skonfiskowane podczas jednej z operacji antynarkotykowych i prokuratura przekazała je Gwardii Cywilnej. Chociaż ze względu na swój stopień i stanowisko Valentina nie nosiła munduru, była przykładną, skrupulatną porucznik kierującą wydziałem śledczym policji sądowej kantabryjskiej komendantury Gwardii Cywilnej w Santanderze. Wcześniej jeździła starą alfą romeo, ale podporucznik Santiago Sabadelle rozbił ją podczas wypadku, do którego doszło w niejasnych okolicznościach. Na szczęście nikt nie ucierpiał.

Valentina odpaliła silnik range rovera, by ruszyć w kierunku komendy w Peñacastillo na obrzeżach Santanderu, kolejny raz prosząc w myślach, żeby jak najszybciej przydzielili jej samochód, który nie rzuca się w oczy. Na widok swojego partnera z trudem powstrzymała śmiech. Oliver Gordon walczył na ganku z pianką surfingową, która w żaden sposób nie chciała dopasować się do jego ciała. Był wysportowany, ale niezdarny – w tym momencie podskakiwał na jednej nodze jak kulawa kaczką, próbując naciągnąć kombinezon, jego ciemne włosy kołysały się w rytmie tego surrealistycznego tańca. Zadanie utrudniał mu szczeniak rasy beagle – suczka Duna bezlitośnie podgryzała związającą z jego stopy neoprenową skarpetę. Oliver, który wcześniej uprawiał tylko jogging, od pięciu tygodni brał lekcje surfing. Szybko okazało się, że jest kompletną nogą, jeśli chodzi o sporty wodne. Jednak za każdym razem, kiedy spadał z deski,

wzruszał ramionami i podejmował kolejną próbę, śmiejąc się z własnej niezdarności, a w końcu godził się z porażką i dawał za wygraną. „Pochodzę z interioru”, wyjaśniało spojrzenie jego błękitnych oczu; w Londynie rzeczywiście nie miał okazji ślizgać się na falach. Jego instruktor Jaime – najbardziej doświadczony surfer w całym Suances – przyznał któregoś razu, zarażony śmiechem Olivera, że jeszcze nigdy nie miał do czynienia z tak beznadziejnym przypadkiem, i w końcu odesłał go do kolegów prowadzących lekcje dla początkujących.

„Na co tak patrzysz, pani doskonała? Nie miałaś czasem jechać do pracy?” Oliver roześmiał się zawstydzony, kiedy zobaczył, że Valentina obserwuje jego zmagania z pianką. Jak to możliwe, że w dwudziestym pierwszym wieku istnieją takie narzędzia tortur! Niestety potrzebował kombinezonu, bo woda w Morzu Kantabryjskim była lodowata nawet w środku sierpnia.

„Już jadę, już jadę!” Valentina posłała mu całusa. Ale nie odjechała. Kiedy rozległ się dzwonek komórki, wyłączyła telefon. Dzwonił kapitan Marcos Caruso. Z samego rana. To nie wróżyło niczego dobrego.

– Dzień dobry, kapitanie...

– Dzień dobry, Redondo. Jesteś w Suances, tak?

– Tak, właśnie wyruszam do Santanderu.

– Nie wyruszaj. Kurwa mać, tylko tego nam brakowało.

– Co...? Co się stało?

– To się stało, że mamy robotę. Znowu. Właśnie w Suances.

Do tego w środku sierpnia!

– Proszę powiedzieć, w jakiej okolicy, zaraz...

– W jakiej okolicy? – przerwał jej Caruso. – Nie, nie, nie chodzi o okolice Suances, tylko o samo, kurwa, centrum, tuż obok ratusza. Kojarzysz budynek o nazwie... coś tam del Amo?

– Hmm... Quinta del Amo?

– Właśnie. Pałac z lat dwudziestych nieopodal Plaza de Viales – potwierdził Caruso, odsuwając się nieco od telefonu, jakby odwrócił głowę, żeby przeczytać tę informację. – Otóż mamy trupa w pierdolonym pałacu.

– Myślałam, że nikt tam nie mieszka.

– Bo nie mieszka. Ale z Kalifornii przyleciał spadkobierca, jakiś pisarz czy dziennikarz. O świcie jego gosposia znalazła przed domem zwłoki ogrodnika. Leo Díaz Pombo. Starszy mężczyzna, tuż przed emeryturą.

– Zabójstwo?

– Wygląda na to, że nie. Na razie wszystko wskazuje na śmierć naturalną.

– Więc?

– Więc pewnie niepotrzebnie wszczynam alarm, ale chcę, żebyś sprawdziła kilka drobiazgów. Jeżeli się okaże, że to jakaś śmierdząca sprawa, prasa pożre nas żywcem, tylko tego nam brakowało. Kurwa, ostatnio mamy tu same morderstwa! – Caruso nabrał powietrza. – Przepraszam, Redondo, nie chciałem się unościć. Prawdopodobnie nie było żadnej zbrodni, ale jest parę rzeczy, które trzeba wyjaśnić. Patolożka twierdzi, że ktoś dotykał zwłok.

– Kto pojechał na oględziny?

– Twoja koleżanka Clara Múgica. Podobno nieboszczykowi zamknęto oczy.

– Zamknięto? To jeszcze nie świadczy o zbrodni...

– Nie świadczy. Ale właściciel posesji zeznał, że w domu dzieją się dziwne rzeczy, że słyszy hałasy, czuje czyjąś obecność... Nieźle, co?

– Jak to obecność? Duchów?

– Nie wiem, Redondo, może się nie zorientował, że dom zajęli mu squatterzy. Facet jest Amerykaninem, pewnie ma nierówno pod sufitem. Sam sędzia Talavera kazał nam się zająć tą sprawą.

– Jest już na miejscu zdarzenia?

– Tak, czekają jeszcze na sekretarza. Na wszelki wypadek wysłałem dwóch techników. Podjedź tam i rozeznaj się w sytuacji. Jest szczyt sezonu, Suances pęka w szwach, nie chcę teraz żadnych problemów, tym bardziej że w przyszłym tygodniu zacznę urlop. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– I ani słówka prasie, jasne?

– Tak jest, może być pan spokojny. Już tam jadę.

Valentina zakończyła połączenie. Zamyślona spojrzała przed siebie, nie widząc ani domu, w którym mieszkała z Oliverem, ani Villa Marina – hoteliku dominującego nad rozległą posiadłością zajmującą zbocze schodzące do zachodniego krańca plaży La Concha, do której mieli bezpośredni dostęp. Na samym szczycie znajdowały się parking i kort tenisowy, niżej wznosiła się kolonialna willa otoczona przepięknym ogrodem stylizowanym na nieco zaniedbany, pod nią był spory basen w kształcie nerki wypełniony błękitną krystaliczną wodą, a na dole stał osobliwy domek przypominający kanadyjską leśną chatę. Z jego ganku roztaczał się niesamowity widok na morze. To właśnie tu zamieszkał Oliver, pozostawiając Villa Marina

turystom i brytyjskim studentom z wymiany, którzy przyjeżdżali do Suances szlifować hiszpański.

Pierwsze promienie słońca dotarły już do plaży i omiotły posesję. Oczy Valentyny rozbłyły niezwykłym światłem. Prawe lśniło zielenią, lewe zaś było matowe i czarne. Porucznik po-
nownie odpaliła silnik wielkiego range rovera. Przeczuwała, że w pałacu Quinta del Amo zmrozi ją chłód jakiejś niezwyklej, mrocznej, zatajonej prawdy.

Sędzia Jorge Talavera westchnął znużony. „Środek sierpnia, nadmorskie miasteczko, a ja przyjeżdżam tu do pracy. W dodatku o świcie! Stracony poranek”, pomyślał. Wolałby się wybrać z żoną i nastoletnimi córkami na panierowane kalmary i świeżutkie mule do jednej z knajpek przy pomoście, a potem... Och, potem uciąłby sobie drzemkę pod plażowym parasolem. Miał świadomość, że zważywszy na swój pokaźny brzuch i wysoki poziom cholesterolu, tego lata powinien postawić raczej na sałatki i aktywność fizyczną, ale na samą myśl, że miałby uprawiać jakiś sport, odechciewało mu się żyć.

– No dobrze, czyli co? Zawał? – zapytał, widząc, że patolożka wstaje znad zwłok i zdejmując rękawiczki.

– Bardzo możliwe – potwierdziła Clara Múgica. – Na ciele nie ma żadnych śladów przemocy. Ile lat miał nieboszczyk?

– Sześćdziesiąt trzy.

– Ze względu na wiek był w grupie ryzyka, ale trzeba sprawdzić jego dokumentację medyczną i zaczekać na wyniki sekcji, chociaż znaczna cyjanoza w obrębie szyi i twarzy mogłaby...

– Cyjanoza?

– Tak... Nie zwróciłeś uwagi na zabarwienie skóry? Sinica jest jedną z oznak śmierci wskutek zawału, ale może mieć także inne przyczyny – wyjaśniła patolożka, poprawiając dłonią półdługie kasztanowe włosy z balejażem, który skutecznie maskował pierwsze siwe pasemka.

– Czyli?

– Czyli to, co zawsze... Nie będę snuła domysłów, dopóki nie przeprowadzę sekcji. Jestem natomiast pewna, że ktoś zamknął mu oczy po śmierci. Powtarzam: na ciele nie widać śladów przemocy ani niczego, co wskazywałoby na gwałtowny zgon. Poza tym mężczyzna ma obrzmiałe grzbiety dłoni, a to jeden z charakterystycznych przejawów ostrej niewydolności serca.

– Krótko mówiąc, podręcznikowy zawał.

– Na to wygląda... Zawiadomiono rodzinę? Czy jest ktoś, kto mógłby nam powiedzieć, na co chorował nieboszczyk?

– Pewnie jest, ale zdaniem kaprała Mazy wiadomo tylko, że ten tutaj – Talavera wskazał głową zwłoki – pracował jako ogrodnik, nie miał dzieci, był wdowcem i mieszkał sam nieopodal portu.

– O kurczę – westchnęła patolożka.

Dawniej podczas oględzin zwłok Clara Múgica lubiła żartować, ale liczne życiowe zakręty złagodziły jej wisielczy humor i uwarściły ją na losy zmarłych, zwłaszcza tych, którzy przed śmiercią borykali się z samotnością. Clara miała czterdzieści dziewięć lat, Talavera – niewiele więcej, mimo to ze względu na pokaźną tuszę wyglądał na znacznie starszego. Drobną, szczupłą i energiczną patolożka była w znacznie lepszej formie od swojego kolegi.

– Czyli fatygowaliśmy się tu z powodu ogrodnika, któremu wysiadło serce – westchnął Talavera. – Nie będę zlecał żadnych dodatkowych czynności w tej sprawie, jedną rzecz mamy z głowy. Przekażę Carusowi, żeby zamknął śledztwo.

– Nie umawialiście się, że Valentina przyjedzie, by trochę się tu rozejrzeć?

– To czysta formalność. Powiedziałaś przecież, że dotyczy ciała, a właściciel twierdzi, że dzieją się tu dziwne rzeczy. Wypada, żeby pojawił się ktoś z Gwardii Cywilnej – wyjaśnił sędzia, puszczając oko do koleżanki. – Swoją drogą, facet umarł w niesamowitym miejscu – dodał, z podziwem spoglądając na ogród i majestatyczny pałac.

– Fakt, robi wrażenie.

Clara podążyła za wzrokiem sędziego. Stali w ogrodzie otoczonym z trzech stron ścianami imponującego pałacu w kształcie litery „U”. Pośrodku rosła gigantyczna tropikalna palma, kontrastująca z angielskim stylem budowli. Oba skrzydła były zakończone wieżami. Wschodnia – wieloboczna, trzypiętrowa, zwieńczona stożkowatym dachem z blachy cynkowej – od razu skojarzyła się Clarze z alkazarem w Segowii. Zachodnią wieżę także wieńczył blaszany stożek, ale wyrastała dopiero z pierwszego piętra i miała cylindryczny kształt. W tym skrzydle fasadę ozdobił schodkowy szczyt, który nadawał Quinta del Amo romantyczny wygląd budowli z innej epoki.

– Wygląda na nieco zapuszczony – dodała Clara, nie odrywając wzroku od budynku. – Przypomina nawiedzony dom z horroru.

– Pff, może. W sumie nie zdziwiłbym się, gdyby z okna wieży wyrzała rodzina Adamsów.

– Nie zdziwiłbyś się? Ja chyba umarłabym ze strachu, gdybym zobaczyła w oknie coś dziwnego.

– Ty? Przecież spędzasz całe dnie w otoczeniu trupów... Kiedyś zatrudnicie u siebie Frankensteina.

– Mój drogi, jeżeli nie zrzucisz tego brzucha, to prędzej będziemy gościć u nas ciebie – odparła Clara, z uśmiechem kręcąc głową, i z czułością spojrzała na sędziego. Talavera był profesjonalistą w pełni oddanym swojej pracy, ale zupełnie o siebie nie dbał. Clara przyjaźniła się z nim od lat i podczas wspólnych kolacji mogła się przekonać, że sędzia pozostaje głuchy zarówno na jej rady, jak i na prośby żony. – Spójrz, przyjechała Valentina – zmieniła temat, spoglądając na ścieżkę.

Na twarzy Valentyny Redondo malowało się skupienie. Zmierzła w ich stronę energicznym krokiem, żwir chrząścił pod jej butami. Po obu stronach ścieżki rosły kwiaty – głównie niebieskie hortensje – a także pojedyncze buki i brzozy zapewniające cień. Większość ogrodu pokrywał jednak olbrzymi trawnik w kształcie elipsy otoczony żwirem. To tam wczesnym rankiem gosposia znalazła zwłoki ogrodnika.

– Dzień dobry – powiedziała Valentina z lekkim uśmiechem, patrząc na ciało fotografowane przez techników.

– Cześć, kochana, co u ciebie? – zapytała Clara.

– W porządku – odparła Valentina, po czym skinęła głową w stronę Talavery.

Chociaż ona i sędzia darzyli się szacunkiem, ich kontakty ograniczały się do śledstw prowadzonych przez wydział Valentyny.

– Przyjechałaś sama? – zdziwiła się Clara.

– Riveiro i Sabadelle zaraz tu będą – wyjaśniła Valentina, wymieniając z nazwiska swoich podwładnych: sierżanta i podporucznika. – Przyjechałam pierwsza, bo... przecież teraz mieszkam w Suances! – dodała, puszczając oko do Clary, która odpowiedziała jej uśmiechem. Ona też przyjaźniła się z Oliverem, który rok wcześniej przeprowadził się do Kantabrii. Valentina mieszkała z nim od sześciu miesięcy. – Skończyliście już?

– Prawie. Czekamy jeszcze na sekretarza. Kiedy przyjedzie, będzie można zabrać zwłoki.

Valentina skinęła głową. Rozejrzała się po miejscu zdarzenia. Po lewej stronie roztaczał się bajeczny widok na Suances i estuarium San Martín otwierające się na morze przy plaży La Concha, po prawej zaś wznosił się imponujący pałac. Jej spojrzenie padło na czujniki alarmu antywłamaniowego, nie zauważyła natomiast żadnej kamery. Wreszcie przeniosła wzrok na trawnik, gdzie dwóch techników niespiesznie krzątało się przy zwłokach.

– Caruso mówił, że to raczej śmierć naturalna... – zwróciła się do Clary.

– Tak mi się wydaje. Najprawdopodobniej zawał. Ale jak wiesz, wolę nie wyrokować, dopóki nie dostanę wszystkich wyni...

– Wiem, wiem. – Valentina przerwała przyjaciółce, spoglądając na zwłoki. – Spokojnie, odczekamy kilka dni, zanim zachniemy cię męczyć. Ile czasu minęło od śmierci? Dwie godziny?

– Nie – westchnęła z uśmiechem Clara. Przywykła do tego, że Valentinie zawsze się spieszy, zresztą tak jak wszystkim śledczym. – Temperatura ciała i ogólny stan zwłok wskazują na to, że mężczyzna zmarł tej nocy.

– Jak to? – Valentina uniosła brwi ze zdziwienia. – Myślałam, że umarł dziś rano, kiedy przyszedł do pracy.

– Otóż nie. Zgon nastąpił wczoraj między dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią.

– Hmm... Trochę późno na kończenie pracy.

– Wcale nie – wtrącił sędzia. – Przy takim upale w ogrodzie pracuje się albo wczesnym rankiem, albo późnym wieczorem.

– Możliwe – zgodziła się Valentina, wdzięczna koledze za tę uwagę. – W każdym razie to dziwne, że zwłoki odkryto dopiero o świcie. Przesłuchamy właściciela domu i służbę. O co chodzi z tymi zamkniętymi oczami?

– A tak: na twardówce pojawiły się *tâches noires*.

Valentina uniosła brwi na znak, że nic jej to nie mówi.

– *Tâches n...* Nieważne. Kiedy zmarli mają otwarte powieki, po rozpoczęciu procesu wysychania pośmiertnego w zewnętrznych kącikach ich oczu pojawiają się brunatne plamki, które z czasem przechodzą w poziome pasma przecinające środek gałki ocznej.

– Aha... I ogrodnik miał brunatne plamki.

– Dokładnie. Zaciemnienie twardówki było w jego przypadku dość zaawansowane, co oznacza, że ktoś zamknął mu oczy, kiedy nie żył już od dobrych kilku godzin.

Valentina pokiwała głową w zamyśleniu. Podeszła do ciała, pilnując, żeby nie deptać terenu zabezpieczonego przez techników. Przez chwilę przyglądała się zwłokom. Chociaż zaczęły już sztywnieć, twarz wydawała się odprężona. Lekka nadwaga, niezbyt umięśniony, siwe włosy, wąskie wargi, wydatny podbródek. Facet wyglądał na sympatycznego. Obok ciała leżały

narzędzia ogrodnicze oblepione ziemią, żdźbłami trawy i liśćmi. Valentina próbowała odgadnąć, co mogło się wydarzyć. „Co pan tu robił, panie Díaz? Zbierał pan narzędzia, żeby je schować? I tak po prostu dostał pan zawału? Ułożenie zwłok wskazuje, że kierował się pan w tamtą stronę”, pomyślała, spoglądając na wieżę we wschodnim skrzydle.

– Pani porucznik, przyjechali Riveiro i Sabadelle.

Wyrwana z zadumy Valentina odwróciła się w stronę kaprała Antonia Mazy. Mimo poważnej miny z powodu rudych włosów i piegów wyglądał jak dzieciak.

– Dzięki, już do nich idę.

– Chyba to oni przyjdą do pani, właśnie zaparkowali.

– Świetnie. Gdzie jest właściciel posesji?

– W domu, musiał gdzieś zadzwonić. Spisałem jego dane: nazywa się Carlos Green, jest pisarzem... Czekałem na panią, żeby... – Kaprał urwał w pół zdania, bo ktoś pojawił się na tarasie pod wieżą w zachodnim skrzydle pałacu. – Proszę spojrzeć, to on.

Valentina podniosła wzrok. Zdziwiła się na widok młodego, umięśnionego mężczyzny: jasne, spłowiałe od słońca włosy, kilkudniowy zarost, łagodne, ale męskie ruchy... Trzymał przy uchu telefon i chaotycznie krążył po tarasie, całkowicie skoncentrowany na rozmowie. Nagle stanął i spojrzał na Valentine, jakby poczuł, że go obserwuje. Jej spojrzenie było twarde, zimne i badawcze, jego – zagubione i wołające o pomoc. Mimo młodego wieku i drobnej budowy ciała Valentina budziła respekt. Trudno zdefiniować charyzmę, ale ona bez wątpienia była nią obdarzona. Wtem za jej plecami rozległo się głośne cmoknięcie.

– Jesteśmy. Kurwa, niezła chata. Od strony szosy wydawała się mniejsza. Zajebiste miejsce.

Valentina westchnęła. Nie musiała się odwracać, żeby odgadnąć, kto za nią stoi. Podporucznik Sabadelle miał nieznośny zwyczaj rzucania wulgaryzmami.

– Cześć, Redondo – przywitał ją inny męski głos.

Tym razem się odwróciła.

– Cześć.

Obok niskiego i coraz bardziej zapasionego podporucznika stał sierżant Riveiro. Mimo że był najniższy stopniem, jego metr osiemdziesiąt wzrostu i tchnąca spokojem twarz nadawały mu wygląd policyjnego wygi. Niespełna pięćdziesięcioletni, był najstarszym członkiem ekipy wydziału śledczego – Valentina i Sabadelle mieli zaledwie po trzydzieści parę lat.

Valentina streściła im to, czego się dotąd dowiedziała. Chciała zdobyć więcej informacji, zanim pójdą przesłuchać właściciela domu.

– Słuchaj, Maza, ty jesteś stąd, prawda?

– Tak, pani porucznik, urodziłem się w Oruñi, ale kiedy miałem pięć lat, przeprowadziliśmy się do Suances.

– Co wiesz o tym pałacu?

– Należał do rodziny Del Amo, *californios*.

– Kogo?

– *Californios*... No wie pani, Hiszpanów, którzy od pokoleń mieszkają w Kalifornii.

– Czekaj, nie rozumiem... Del Amo mieszkali w Kalifornii? Po co wracali do Hiszpanii, w dodatku do takiej dziury jak Suances?

– Uff, nie wiem dokładnie, musiałbym zapytać dziadka, on urodził się tutaj – zawahał się kapral. Niespełna trzydziestoletni, grzebał w pamięci, przyglądając rude włosy. – Wydaje mi się, że któryś Del Amo wyemigrował do Kalifornii, ożenił się, zbił majątek, a potem wrócił... Jakoś tak. W latach siedemdziesiątych jego spadkobiercy sprzedali pałac. Posiadłość kupili inni *californios* i przyjeżdżali tu na wakacje... Niejacy Greenowie.

– Greenowie – powtórzyła Valentina powoli, jakby smakowała to nazwisko. – Poznałeś ich?

– Nie, ale kilka razy widziałem panią Green. Zmarła pod koniec zeszłego roku... Nie bywała w miasteczku, jeździła na wózku inwalidzkim. Przyjeżdżała tu każdego lata, ale przez większość czasu siedziała w domu i czytała. Mają tu chyba największą bibliotekę w całym Suances – dodał Maza, wskazując pałac.

– No proszę... – Valentina miała coraz większą ochotę zwiedzić Quinta del Amo. Spojrzała na Carlosa Greena, który wciąż rozmawiał przez telefon na tarasie. – A co wiesz o nim?

– Niewiele. Przyjechał na początku lata, podobno pisze książkę. W miasteczku mówią, że chce sprzedać pałac, ale czy ja wiem? To tylko plotki starych bab.

– No tak. A ta pomoc domowa, która znalazła zwłoki? Gdzie się podziała?

– Patrol zawiózł ją do przychodni, biedna kobieta dostała ataku paniki. Myślę, że niedługo będą z powrotem.

– Na pewno, dzieciaku. Jedna kolorowa pastylka i w mig dojdzie do siebie – wtrącił Sabadelle kpiącym tonem.

Valentina przewróciła oczami, jednak tym razem zdobyła się na cierpliwość i pominęła milczeniem komentarz podwładnego.

- Spisaliście jej dane?
- Moi koledzy z nią rozmawiali, ale jak już mówiłem, była bardzo zdenerwowana.
- Rozumiem. Czy oprócz niej zatrudniają jeszcze kogoś w pałacu?
- Chyba nie.
- Nie? W takim wielkim domu?
- Nikogo innego nie widzieliśmy, ale jesteśmy tu od niedawna – usprawiedliwił się kaprał, wzruszając ramionami.
- W porządku. Skontaktuj się z patrolem i zapytaj, co z gosposią. Niech ją tu jak najszybciej przywiozą, ewentualnie możemy przesłuchać ją u was na posterunku.

Valentina wskazała kolegom, żeby poszli za nią. Pożegnała się z kapralem Mazą, patolożką i sędzią, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę Quinta del Amo.

Żwirową ścieżką dotarli do schodów, które niczym kamieniny dywan prowadziły do pałacu. Na widok zbliżających się funkcjonariuszy Carlos Green skończył rozmawiać przez telefon i z ciężkim westchnieniem przygotował się na spotkanie z kobietą o dziwnym spojrzeniu i jej towarzyszami. Jak miał im wytłumaczyć, że w jego dekadentckim pałacu materializują się duchy?

2

Nigdy nie zapominajmy o Przyrodzie. Ale traktujmy tę boginię jak skromną czarodziejkę, nie strójmy jej, ale też nie pozostawiajmy nago. [...] Radźmy się we wszystkim ducha miejsca.

Alexander Pope

Za plecami stojącego na tarasie Carlosa Greena znajdowały się trzy pary wysokich przeszklonych, obramowanych białym drewnem drzwi, przez które widać było imponujący salon Quinta del Amo. Mężczyzna przez chwilę obserwował wspinających się po schodach funkcjonariuszy.

Przedstawili się. Porucznik Valentina Redondo zmierzyła go swoim tajemniczym dwukolorowym spojrzeniem, podporucznik Santiago Sabadelle ni stąd, ni zowąd cmoknął językiem, próbując zajrzeć do salonu, sierżant Jacobo Riveiro wyjął z kieszeni mały notes, żeby zapisywać w nim Bóg wie co.

– Chcielibyśmy porozmawiać o pańskim ogrodniku Leo Díazie.

– Tak, oczywiście.

– Jak pan już wie, najprawdopodobniej zmarł na zawał – wyjaśniła Valentina, patrząc pisarzowi w oczy – ale musimy wyjaśnić kilka drobiazgów.

– Naturalnie – przytaknął Green. Na jego twarzy malował się nie tyle niepokój, co żal. – Zapraszam do środka, będzie nam wygodniej – dodał, podchodząc do uchylonych środkowych

drzwi tarasu. Mówił po hiszpańsku płynnie i poprawnie, ale z wyraźnym amerykańskim akcentem. – Przepraszam, że do państwa nie wyszedłem, rozmawiałem z prawnikiem. Niedługo tu będzie, w razie gdyby trzeba było dopełnić jakichś formalności.

„Z prawnikiem? – zdziwiła się Valentina. – Przed jego domem umiera ogrodnik, a on dzwoni do prawnika?” Spojrzała na Riveira. Sierżant lekko skinął głową na znak, że pomyślał o tym samym. Carlos Green poprowadził funkcjonariuszy do salonu, nieświadomy ich podejrzeń. Valentina szła niespiesznie, rozglądając się po pomieszczeniu, gdzie czas zatrzymał się na latach czterdziestych. Jej uwagę zwrócił olbrzymi jasny kominek po prawej stronie. W głębi salonu dostrzegła ciemne mahoniowe schody wiodące na piętro. Ponieważ skręcały pod ostrym kątem, trudno było odgadnąć, co znajduje się wyżej.

Ściany i podłoga olbrzymiego salonu były wyłożone drewnem w tym samym odcieniu. Mocno sfatygowane bordowe dywany dzieliły pomieszczenie na dwie części. Przed kominem stały dwa staromodne stoliki i łososiowe kwieciste sofy, zaś w rogu, w pobliżu tarasu, znajdował się kącik do czytania, z dwoma gładkimi fotelami ustawionymi na wprost wbudowanych w ścianę regałów.

„To ma być ta biblioteka? Wcale nie jest taka duża”, pomyślała Valentina, idąc za Greenem, który poprowadził ich szerokim prostym korytarzem. Przez łukowe okna wychodzące na dziedziniec z palmą wpadało dużo światła.

Carlos Green nagle się zatrzymał, jakby dopiero w tym momencie coś przyszło mu do głowy.

– Jeżeli państwo wolą, możemy porozmawiać w salonie, ale pomyślałem, że zważywszy na wczesną porę, napiją się państwo kawy – wyjaśnił, odwracając się w stronę, z której przyszli.

– Tak, kawa to świetny pomysł – odpowiedziała Valentina z wdzięcznością. Tak naprawdę miała ochotę poznać jak najwięcej zakamarków pałacu.

– W takim razie proszę za mną. Trochę tu staromodnie, ale babci podobał się taki wystrój... To jedyne pomieszczenie, które unowocześniła po zakupie domu – wyjaśnił, kiedy weszli do gigantycznej kuchni w stylu lat siedemdziesiątych, wyłożonej białymi kwadratowymi kafelkami.

Valentina naliczyła trzy żelazne piece polakierowane na biało. Pomyślała, że pewnie swego czasu ta kuchnia uchodziła za szczyt nowoczesności i tętniła życiem.

– Pańska babcia nie żyje, prawda?

– Tak, zmarła w ubiegłym roku. Zostawiła mi w spadku Quinta del Amo, chociaż byłem tu zaledwie dwa razy podczas wakacji – wyjaśnił Green.

Przeszli przez olbrzymią spiżarnię zabudowaną białymi szafkami i znaleźli się w malowniczym saloniku. W pomieszczeniu panował półmrok – ciemnozielona zasłona zakrywała jedno z dwóch wysokich okien, prawdopodobnie wychodzące na trawnik, gdzie leżały zwłoki ogrodnika. Wystrój był tu prosty, ale uwagę Valentyny zwróciły kasetonowy sufit oraz czterodrzwiowa szafka ozdobiona kolorowymi scenami ze średniowiecznego zamku. Carlos Green wyjął z niej filiżanki i paczkę kawy.

– Proszę usiąść. – Wskazał biały drewniany stolik, przy którym stały krzesła i ławeczka wyłożone poduszkami w kwiaty.

Można było odnieść wrażenie, że to w tym pomieszczeniu toczyło się prawdziwe życie; zanim weszli do saloniku, Valentina czuła się trochę jak w muzeum. – Przykro mi z powodu Leo – dodał Green, przygotowując kawę na narożnym stoliku, na którym stały nowoczesny ekspres przelewowy, mikrofalówka i czajnik elektryczny. – Kiedy usłyszałem, jak Pilar krzyczy w ogrodzie, nawet nie przyszło mi do głowy...

– Pilar to pana gosposia, tak?

– Owszem. Obudziłem się i usłyszałem krzyk. Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem Pilar, stała przy leżącym na ziemi mężczyźnie i krzyczała. Oczywiście natychmiast zbiegłem na dół. Początkowo nie rozpoznałem Leo... Było jeszcze ciemno.

Carlos Green niespodziewanie urwał, jakby znowu sobie o czymś przypominał. Podeszedł do okna i odsunął ciemnozieloną zasłonę. Pokój zalało światło, tak ciepłe, jakby przepuszczono je przez jakiś różnobarwny filtr. Valentina, Riveiro, nawet Sabadelle nie byli w stanie ukryć zdziwienia.

– Jak pięknie – powiedziała Valentina na widok tego, co było po drugiej stronie. Wstała i podeszła bliżej. – Mogę? – zapytała, spoglądając na właściciela domu.

– Oczywiście – odparł Green z uśmiechem. – Zapraszam. Na tyłach znajdziecie państwo pałacowego *genius loci*.

– Co takiego? – zdziwił się Riveiro.

– Ducha miejsca. Babcia Martha twierdziła, że mieszka tu opiekuńczy duszek – wyjaśnił Green z nostalgicznym uśmiechem. – Nazywała tę część sekretnym ogrodem. Mówiła, że duszek strzeże największego skarbu pałacu. – Poruszył dłonią, jakby odsuwał niewidzialną kurtynę.

Riveiro i Sabadelle przeszli za Valentiną przez szeroki otwór zwieńczony łukiem prowadzący do niesamowitego pomieszczenia: szklarni o powierzchni około czterdziestu metrów kwadratowych, pełnej zapachów i kolorów. Kwitły tu szalwie, nagietki, begonie, storczyki, lawenda... Powietrze przenikała ich łagodna woń. Przez przeszkloną ścianę w głębi widać było trawnik, gdzie sędzia, patolożka i sekretarz przyglądali się, jak zabierają zwłoki. Dach składał się z kolorowych szybek barwiących światło wpadające do środka, ściany zaś były w większości przezroczyste. Z zewnątrz ten magiczny zakątek był praktycznie niezauważalny, bo obrosły go bluszcz i pnące paprocie.

W rogu na tyłach szklarni, gdzie prawie nie było roślin, stała drewniana figurka przedstawiająca elfa siedzącego na globusie. Wyglądał przez okno rozmarzony, opierając brodę na dłoni. Z kieszeni zwisał mu zegarek na łańcuszku symbolizujący upływ czasu. Niewielki drewniany globus z pomalowanymi na kremowo i beżowo oceanami wyglądał na antyk.

Valentina z zachwytem przyglądała się osobliwemu duszkowi.

– Mówiłem, że mamy tu *genius loci* – powiedział z uśmiechem Green. – Wydaje mi się, że kiedy babcia kupiła pałac, już tu był. Nie wiem, w jakim drewnie został wyrzeźbiony, w każdym razie niestraszny mu upływ czasu.

– Właśnie widzę – potwierdziła Valentina, podziwiając misterne wykonanie elfa i globusa.

– To moje ulubione miejsce w całym domu – wyznał Green, opierając się o framugę drzwi prowadzących do sekretnego ogrodu. – Ale niełatwo je pielęgnować. Leo mówił, że kilka miesięcy

przed moim przyjazdem musiał wymienić prawie wszystkie rośliny. Jakaś plaga czy coś.

Valentina skinęła głową, skupiona na barwach i zapachach niesamowitego ogrodu.

– Nie znam się na kwiatach, ale podejrzewam, że w takiej szklarni jest sporo pracy.

Carlos Green wzruszył ramionami.

– Ale warto podjąć trud. To miejsce ma szczególną atmosferę. Prawdę mówiąc, spędzam tu większość czasu – dodał, wskazując wolny od roślinności kącik z białym sufitem. Na podwyższeniu stało duże podniszczone biurko zavalone zeszytami, kartkami i ołówkami. Laptop najnowszej generacji zupełnie nie pasował do klimatu tego miejsca. Na starej skórzanej kanapie leżała patchworkowa narzuta, a na podłodze dwie książki o angielskich tytułach.

– Wow! Działa? – zapytał Riveiro, wskazując szafę grającą w stylu lat pięćdziesiątych stojącą w kącie obok kanapy, srebrną, wysoką na prawie metr, zwieńczoną czymś w rodzaju wyblakłej tęczy.

Carlos Green kolejny raz wzruszył ramionami.

– Działa, kiedy chce. Trzeba wrzucić monetę, ale mechanizm jest kapryśny. Czasami kiedy tu pracuję, włącza się sama... Nie mogę otworzyć obudowy z płytami, pewnie zardzewiały drzwiczki.

– Może ma pan tu jakieś muzyczne perełki – zasugerował Riveiro.

– Niewykluczone – westchnął Green. – Chociaż wydaje mi się, że repertuar ogranicza się do Nata Kinga Cole’a, Billie Holiday i Patty Page... Lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte.

– Pracuje pan tutaj? – zapytała Valentina, którą nie bardzo interesowała muzyka z ubiegłego wieku.

– Tak, jestem pisarzem.

– Wiem... Słyszałam. I mieszka pan tutaj... sam?

– Owszem, ale nie na stałe. Przyjechałem tylko na lato.

– Naprawdę mieszka pan sam? – wtrącił Sabadelle. – Tutaj? Kurwa, to jak Jack Nicholson w *Lśnieniu*!

Na widok lodowatej miny przełożonej podporucznik natychmiast pożałował, że otworzył usta. Carlos Green spoglądał na niego zdezorientowany. Valentina już miała się odezwać, kiedy Amerykanin wybuchnął śmiechem, potrząsając swoimi jasnymi włosami.

– *The Shining* Kubricka! Przepraszam, nie od razu skojarzyłem... Tyle że ja nie zamierzam wpaść w obłąd – westchnął, spoglądając na Valentinę. – Chociaż powiem państwu, że dzieją się tu dziwne rzeczy.

– Dziwne?

– Tak, pani porucznik. Wcześniej, kiedy przyjechał patrol Gwardii...

– Cywilnej – dokończyła Valentina, słysząc wahanie w głosie Greena. – Patrol Gwardii Cywilnej.

– No właśnie. Kiedy ci z patrolu zapytali, czy Leo mógł się czegoś wystraszyć albo czy przy domu kręcił się ktoś podejrzący, powiedziałem, że nie, ale wyjaśniłem, i teraz powtórzę to samo państwu, że moim zdaniem ktoś zakrada się na teren posesji. Pewnie państwo pomyślą, że zwariowałem, ale często słyszę hałasy, szepty... Nie umiem tego wyjaśnić. Mam wrażenie, że jestem obserwowany. Znają państwo to uczucie?

Valentina dała sobie czas na odpowiedź. Z uwagą wpatrywała się w rozmówcę. Carlos Green bynajmniej nie wyglądał na wariata. Był przystojny – jasnowłosy, opalony, dobrze zbudowany, ubrany w biały T-shirt i szorty. Ale skąd miała wiedzieć, co skrywają jego niebieskie oczy? Zdawała sobie sprawę, że ludzie potrafią bardzo zręcznie tworzyć maski.

– W takim miejscu jak to łatwo dać się ponieść wyobraźni.

– Wiem. Ale Leo też widział i słyszał różne rzeczy. Podobnie jak Pilar. Mogą ją państwo zapytać – zasugerował Green, licząc na wsparcie gosposi.

– Jakie rzeczy?

– Cienie, odgłos kroków... Zimne powiewy niewiadomego pochodzenia, zapalone światła w pomieszczeniach, gdzie powinno być ciemno.

Valentina westchnęła, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Widziałam, że macie tu alarm przeciwwłamaniowy. Jest podłączony?

– Tak, przez cały rok. Pałac przez większość czasu stoi pusty. Taki alarm daje minimalne zabezpieczenie.

– Rozumiem. A czy w pałacu są jakieś... wartościowe przedmioty?

– Wartościowe? – Carlos Green wzruszył ramionami. – Chyba więcej tu rupieci niż antyków.

Pytania Valentiny raczej nie miały związku ze śmiercią ogrodnika, zadawała je z czystej ciekawości.

– A czy ten alarm... Miał pan z nim ostatnio jakieś problemy?

– Odkąd przyjechałem do Suances, żadnych – zaprzeczył z przekonaniem Green. – A jestem tu już prawie trzy miesiące, od czerwca.

– Żadnych problemów – powtórzyła w zamysleniu Valentina. Spojrzała na Riveira, który zanotował tę informację. Przeszła ze szklarni do saloniku i wskazała biały stolik. – Panie Green, proponuję, żebyśmy usiedli, napili się kawy i porozmawiali o pańskim ogrodniku, bo to z jego powodu tu jesteśmy. Jeżeli pan chce, później możemy przejść do tematu duchów – dodała zagadkowym tonem.

Osoby, które kochamy i przez które jesteśmy kochani, są w stanie nas zmienić. Oliver dzielił to przekonanie ze wszystkimi, których życie nagle legło w gruzach i musieli je na nowo odbudować. Uśmiechnął się, kiedy odkrył, że odruchowo schował adidas do szafki przy wejściu, zamiast porzucić je na ganku, gdzie czekałyby, aż znowu będzie ich potrzebował. Odkąd wprowadziła się do niego Valentina, zmienił nawyki – oczywiście miał w tym swój udział także szczeniak, który gryzł wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Mieszkanie z osobą obsesyjnie dbającą o porządek stanowiło nie lada wyzwanie, Oliver jednak zmienił się nie dlatego, żeby zadowolić Valentine, ale żeby ją chronić, zapewnić jej bezpieczny azyl i żyć w prawdzie, choć sam do tej pory był otoczony kłamstwami. Przy nim Valentina mogła na moment stracić czujność. Rozsupłać węzły, zrzucić krępujące ją liny i pozwolić, żeby zabrał je odpływ. Poluzować swoje obsesje, złagodzić ciężar moralnego długu, który spłacała, nieprzejednanie walcząc ze złem. Obydwoje nareszcie wiedli spokojne, niemalże sielankowe życie, pozbawione gwałtownych wstrząsów. Traumatyczne doświadczenia odeszły w przeszłość, lęki i cienie stopniowo się rozmywały. Valentina nie mogła

uwierzyć, że układa im się tak dobrze. Oliver zbywał jej obawy żartami, ale kiedy zostawał sam, z jego twarzy znikał uśmiech. On też się bał, że to wspólne życie jest zbyt piękne, żeby trwało wiecznie.

Wrócił z lekcji surfingu na plaży Los Locos. Marzył o ciepłym prysznicu. Musiał się pośpieszyć, żeby zdążyć na uczelnię. Pracował teraz na Wydziale Filologii Uniwersytetu Kantabryjskiego w Santanderze – dwa razy w tygodniu prowadził zajęcia z angielskiego, urzędował też w Biurze Współpracy z Zagranicą.

– Panie Gordon?

Oliver odwrócił się zaskoczony, słysząc głos dobiegający zza drzwi domku.

– Matilda?

– Tak, to ja. Mogę pana na chwilę prosić?

– Oczywiście, już idę! – odkrzyknął.

Na jego twarzy malowały się zdziwienie i ciekawość. Matilda – dyskretna Kantabryjka w średnim wieku, o ciemno-kasztanowych obciętych po męsku włosach, wąskich wargach i bystrych oczach – pracowała w Villa Marina od kilku miesięcy, a jeszcze nigdy nie była u niego w domu. Zatrudnił ją do sprzątania hoteliku i przygotowywania śniadań dla gości. Pospieszenie otworzył drzwi. Czyżby coś się stało?

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, może to nic ważnego...

– Nie przeszkadza mi pani, proszę wejść. Wszystko u pani w porządku?

– U mnie tak, ale chciałam z panem porozmawiać o Begoñi.

– Pani Matildo, myślałem, że to już zamknięty temat – westchnął Oliver. – Przecież latem potrzebuje pani kogoś do

pomocy, sama nie da sobie pani ze wszystkim rady! No nie...
Co tym razem stłukła nasza droga Begoña?

– Nie, nie, nie o to chodzi. Straszna z niej ciamajda, ale w końcu trochę mi pomaga. Chciałam porozmawiać z panem o czymś innym.

Oliver ze zdziwieniem zmarszczył czoło.

– Proszę mówić, tylko uprzedzam, że nie mam dużo czasu, zaraz jadę na uczelnię, a jeszcze muszę wziąć prysznic – wyjaśnił, spoglądając na zegar w kuchni. – Może usiądziemy?

– Nie ma takiej potrzeby, zajmę panu tylko chwilę. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale sprawa jest dziwna, dlatego pomyślałam, że powinien pan o tym wiedzieć.

– Jeżeli któryś z gości zażył sobie na śniadanie krwi i ma podejrzenie długie kły, to proszę pamiętać, że w spiżarni jest spory zapas czosnku.

„Bardzo śmieszne”, mówiła mina Matildy. Na jej twarzy malowała się powaga. Niełatwo było wykrzesać z niej uśmiech, mimo że Oliver usilnie starał się ją rozbawić. Od razu przeszła do rzeczy.

– Begoña kilka razy widziała, jak ktoś kręci się po posesji.

– Ktoś? Kto?

– Nie wiem. Jakaś kobieta.

– To pewnie ktoś z hotelu. Chociaż to prawda, że każdy może wejść na teren posesji, furtka zazwyczaj jest otwarta...

– Nie, to na pewno nikt z naszych gości. Od początku lata Begoña widziała tę kobietę już cztery razy.

– Naprawdę? Dziwne, że nie zauważyliśmy jej ani ja, ani pani – odpowiedział zaskoczony Oliver.

– Wie pan, jaka jest Begoña. Dziewczyna ma pstro w głowie, zamiast sprzątać, wygląda przez okno.

– No tak. A ta... obca... Robiła coś podejrzanego?

– Podejrzanego nie. Po prostu się tu kręci i podchodzi pod pana dom.

– Co? Pod mój dom? – niemal wykrzyknął Oliver. – Dlaczego mówi mi pani o tym dopiero teraz?

– Dowiedziałam się dzisiaj rano. Begoña myślała, że to jakaś sąsiadka albo pana znajoma. Zresztą może tak jest. Uznałam, że powinien pan wiedzieć, bo nie ma pan u siebie alarmu ani monitoringu – dodała z wyrzutem w głosie.

Oliver wybuchnął śmiechem.

– Pani Matildo, przecież to nie Buckingham Palace. Poza tym posiadłość jest ubezpieczona – dodał, puszczając oko. Starał się ukryć niepokój: doświadczenia z ostatnich lat nauczyły go, że z pomyślnicami nie ma żartów. – A jak wygląda ta podglądaczka? Begoña umiała ją opisać?

– Bardzo ogólnie. Młoda, ciemne włosy do ramion, raczej przy kości. Begoña widywała ją albo wcześniej rano, albo późno wieczorem.

– Albo wcześniej rano, albo późno wieczorem... – powtórzył Oliver w zamyśleniu. – I nie zaglądała przez ogrodzenie, tylko wchodziła na teren posesji i kręciła się przy moim domu, tak?

– Zgadza się.

– Czyli nie wie, że mieszkam z Larą Croft – odpowiedział Oliver, mając na myśli Valentinę, porucznik Gwardii Cywilnej.

Jak było do przewidzenia, Matilda nie zareagowała na żart i zachowała kamienną twarz.

– Pewnie zagłada tu z ciekawości – próbowała zbagatelizować sprawę, chociaż ton jej głosu zalecał maksymalną ostrożność. – Ale pomyślałam, że to dziwne. W dzisiejszych czasach nic nie wiadomo.

– Ma pani rację, pani Matildo. Proszę się nie martwić, zachowam czujność. Dziękuję za informację. Jeżeli Begoña znowu zobaczy tę kobietę, niech mnie natychmiast zawiadomi, jasne?

– Oczywiście. Ja też będę czujna.

Oliver jeszcze raz podziękował Matildzie. Trzy razy powtórzył, że może być spokojna i że dobrze zrobiła, mówiąc mu o podglądaczce. Kim jest ta kobieta? Co robiła na terenie posesji? Po co podchodziła pod jego dom? Zamknął drzwi za Matildą i szybkim krokiem ruszył do łazienki. Jeszcze kilka lat temu najprawdopodobniej zlekceważyłby tę informację, ale ostatnio spotkało go tyle złych rzeczy, że teraz traktował serio każde potencjalne zagrożenie. Bez namysłu sięgnął po komórkę i zadzwonił do Valentyny.

PROFESOR MACHÍN

Pierwszy wykład

Po prezentacji profesor Álvaro Machín wstał od stołu i podszedł do krawędzi podwyższenia w audytorium przylegającym do dawnych stajni pałacu La Magdalena. Z uśmiechem przyjrzał się siedzącym w fotelach słuchaczom. Kiedy zmrużył oczy, pogłębiły się zmarszczki pokrywające jego sympatyczną twarz, która mimo draśnień spowodowanych upływem czasu zachowała pogodny wyraz.

– Na początku chciałbym podziękować, że zdecydowali się państwo uczestniczyć w moich wykładach o zdrowiu psychicznym. Dziękuję także Uniwersytetowi Kantabryjskiemu, który zaprosił mnie do udziału w konferencji – dodał, odwracając się w stronę stołu. Rektor uczelni i inni wykładowcy życzliwie pokiwali głowami. – Jak państwo wiedzą, zajmuję się neurokognitywistyką, czyli badaniem ludzkiego umysłu i zachodzących w nim procesów, konkretnie u pacjentów, którzy twierdzą, że mieli paranormalne doświadczenia. Sugeruję, żebyśmy zaczęli od siebie. Co państwo na to? – zapytał z lekkim kanaryjskim akcentem, omiatając wzrokiem słuchaczy. – Proszę mi powiedzieć: wierzą państwo w duchy?

Na pękającej w szwach widowni zapanowała cisza. Pytanie było proste i bezpośrednie, ale słuchacze nie spodziewali się, że

już na wstępie zostaną wywołani do odpowiedzi. W końcu przez salę przeszedł szmer. Dotarł do bukowego podestu, na którym stał uśmiechnięty profesor.

– Widzę, że nie są państwo jednomyślni w tej kwestii... Ktoś chciałby podzielić się swoją opinią?

Słuchacze wymieniali niepewne spojrzenia. Álvaro Machín słynął z ekstrawaganckich wykładów. Miał bogaty dorobek: od ponad dwudziestu lat był profesorem Uniwersytetu La Laguna na Teneryfie, gdzie wykładał psychologię poznawczą, społeczną i organizacji, współpracował też z tamtejszym zakładem neurokognitywistyki. Chociaż zarzekał się, że nie wierzy w zjawiska paranormalne, był związany ze słynną Koestler Parapsychology Unit, grupą badawczą działającą na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Edynburskiego, który jako jeden z niewielu na świecie dysponował laboratorium do badań parapsychologicznych. Ponieważ Machín był wdowcem i nie miał dzieci, mógł bez przeszkód jeździć po świecie ze swoimi wykładami.

Jasnowłosy chłopak o ciemnych oczach, ubrany na czarno odważył się podnieść rękę.

– Proszę – wskazał go profesor. – Jak się pan nazywa?

– Christian Valle.

– Słucham, panie Valle: co pan sądzi o duchach?

– Skoro przyjmujemy, że istnieje dusza albo jakiś... – Chłopak zawahał się, szukając odpowiedniego określenia. – Jakiś odrębny byt mieszkający w ludzkim ciele, dlaczego nie mielibyśmy przyjąć, że ten byt może funkcjonować także poza ciałem?

– Czyli wierzy pan w duchy. A przynajmniej w możliwość ich istnienia.

– Nie wiem, czy w duchy. Wierzę, że istnieje coś, czego nie potrafimy naukowo wyjaśnić.

– Właśnie dlatego parapsychologia jest pseudonauką. Na razie istnienia zjawisk paranormalnych nie można udowodnić naukowo.

– Ani ich nieistnienia.

– Słucham?

Wykładowca nie krył zdziwienia. Niepewny, onieśmielony głos chłopaka nabrał mocy.

– Chodzi mi o to, że te zjawiska zachodzą, że dzieją się rzeczy, których nie potrafimy wytłumaczyć. Przecież nie mamy pewności, że poznaliśmy już wszystkie prawa fizyki – wyjaśnił Christian Valle.

Przez salę znowu przeszedł szmer, jakby kilkadziesiąt osób zajmujących niebieskie fotele jednocześnie zapałało chęcią zabrania głosu. Machín podniósł rękę, nakazując ciszę.

– Ma pan rację, panie Valle. Z tym że zjawiska paranormalne nie podważają znanych nam praw fizyki, a jedynie ich interpretację i granice, które sami im narzucamy. Podczas tego kursu będę się starał udowodnić, że wszystko, co postrzegamy jako paranormalne, można naukowo wyjaśnić. Załóżmy, panie Valle – ciągnął profesor, zwracając się do zestresowanego chłopaka – że ktoś przychodzi do lekarza i mówi, że słyszy hałasy i głosy, że czuje obecność duchów. Co należałoby ustalić w pierwszej kolejności?

– Sprawdzić stan zdrowia pacjenta, ja...

– Otóż to – wszedł mu w słowo Machín. – Sam pan powiedział: stan zdrowia pacjenta. Liczne badania pozwoliły stwierdzić,

że wiele doświadczeń paranormalnych wynika z napięcia nerwowego, zażywania narkotyków, chorób psychicznych czy urazów w obrębie płatu skroniowego mózgu. Tak naprawdę znaczna większość „wizji” – zaznaczył w powietrzu cudzysłów – wynika ze zmęczenia, mają miejsce tuż przed zaśnięciem albo zaraz po przebudzeniu, a tak zwane halucynacje to po prostu błędna interpretacja rzeczywistości.

Po tych słowach Machín sięgnął po pilota i włączył rzutnik. Na dużym ekranie za jego plecami wyświetliły się możliwe przyczyny wizji, od zaburzeń krążenia i wysokiej gorączki, przez głód i niewyspanie, po upośledzenia sensoryczne i zanik kory mózgowej. Wykładowca szczegółowo omówił każdy z punktów, po czym ponownie zwrócił się do chłopaka:

– Widzi pan, panie Valle? Prostota kontra zagmatwane fantazje. Niech państwo pamiętają o zasadzie zakonnika Williama Ockhama: prostsze wyjaśnienie jest zwykle bardziej prawdopodobne.

Chłopak pokręcił głową i podniósł rękę, żeby ponownie zabrać głos. Profesor Machín lekko skinął głową.

– A jak pan wyjaśni EVP, nieprawdopodobne koincydencje, telepatię, jasnowidzenie, prekognicję i wizje u osób, które nie mają problemów psychicznych?

Machín uniósł brwi.

– Uff, wyjaśnienie tylu zjawisk zajęłoby mi bardzo dużo czasu!

Większość słuchaczy odpowiedziała śmiechem, ale Christian Valle bacznie wpatrywał się w wykładowcę. Machín odwzajemnił jego spojrzenie, gotów podjąć dialog z chłopakiem.

– Słyszał pan o włoskim neurologu Cazzamallim? W połowie dwudziestego wieku wysunął teorię mówiącą o tym, że komórki ludzkiego mózgu generują tak dużo energii elektromagnetycznej, że mogą przysyłać fale radiowe. Co pan na to?

– Ja... nie znam tej teorii, panie profesorze.

– Proszę się nie martwić, jutrzejszy wykład poświęcimy zdolnościom naszego mózgu. Nad wieloma z nich trwają jeszcze badania, mogą jednak wyjaśnić zjawiska takie jak jasnowidztwo czy telepatia. Dziś chciałem przedstawić państwu inny ciekawy argument. Chcą go państwo poznać? – zapytał, zwracając się do publiczności.

W auli rozległy się pomruki aprobaty. Słuchacze podnieśli wzrok znad notatek i spojrzeli na wiszący nad podwyższeniem ekran. Machín kliknął pilotem. Ku ogólnemu zaskoczeniu następny slajd przedstawiał mapę nieba z Układem Słonecznym.

– A oto i on, panie i panowie – ogłosił Machín, nie kryjąc, że rozkoszuje się swoim wystąpieniem. – Jeden z powodów, dla których wielu z was wierzy w duchy. Winę ponoszą wiatr i jedna z gwiazd.

Christian Valle i pozostali słuchacze ze zdziwieniem patrzyli, jak profesor Machín powiększa ilustrację, by wskazać, że gwiazdą, która ma to wszystko tłumaczyć, jest oddalone od Ziemi o sto pięćdziesiąt milionów kilometrów Słońce.



María Oruña
Ukryty port

Wietrzne wybrzeże Hiszpanii miało być dla Oliviera oazą spokoju. Zmęczony życiem w Londynie postanawia wyremontować willę, którą odziedziczył po zmarłej matce. Coś jednak zakłóci jego wizję. Robotnicy odnajdują w piwnicy zmumifikowane zwłoki. Śledztwo w sprawie „Anioła z Villa Marina” prowadzi ambitna porucznik Valentina Redondo. Kiedy kilka kolejnych osób zostaje zamordowanych, staje się jasne, że przerażające odkrycie obudziło duchy przeszłości. I że ktoś próbuje uciszyć je na zawsze...

464 str., okładka miękka

mando.pl



María Oruña
Miejsca przeznaczenia

Po serii morderstw w hiszpańskim Suances wydaje się, że wszystko wróciło do normy. Nie na długo. W okolicy zostaje znalezione ciało kobiety ubrane w średniowieczną suknię. Sekcja zwłok ujawnia szokujące okoliczności śmierci, a tajemniczy przedmiot, który zmarła miała przy sobie, jest pierwszą wskazówką dla śledztwa. Wkrótce policja ujawnia tożsamość kobiety – to Polka...

512 str., okładka miękka

mando.pl

